

Ulice do wymiany

31 maja 2016

W najbliższym czasie Polskę czeka duża dekomunizacja ulic. Przeciwno działaniom tym podnoszone są różne argumenty.

Na wstępie śpieszę wyjaśnić, że w przeciwieństwie do większości zwolenników/przeciwników dekomunizacji ulic, tak się złożyło, że problem tej zmiany żywotnie mnie dotyczy i w przypadku zapadnięcia ostatecznej decyzji będę musiał uprawiać liczne pielgrzymki do urzędów i inszych miejsc aby powymieniać całą stertę mniej lub bardziej ważnych dokumentów. I wbrew pozorom jestem zwolennikiem tej zmiany, chociaż serdecznie nie chce mi się robić koniecznej papierkowej roboty. Uważam też, że nie ma żadnego argumentu przeciw niej poza wygodą mieszkańców, która (co później wyjaśnię) niekiedy musi zejść na plan dalszy.

ARGUMENT Z WYMAZYWANIA HISTORII

Ten argument dosyć często pojawia się w głosach przeciwników dekomunizacji: „jak to, będą wymazywać historię i pisać ją na nowo, a przecież to tradycja polska...”. I tak dalej.

Po pierwsze, idąc tym tropem myślenia, czy w Polsce jeżeli ktoś nie ma ulicy swojego imienia, to został wymazany z historii. Absurd? Absurd. Opatrzanie ulicy/skweru/alei/placu tym czy innym imieniem jest sygnałem, że dane postacie uznajemy za warte podziwu, oddając im tym samym honor. Nazwy ulic są jednym z węzłów polityki historycznej, pokazującej to co najlepsze w historii, nie zaś to co kontrowersyjne.

Fakt nie nazywania ulic imieniem króla Michała Korybuta Wiśniowieckiego czy Augusta II Sasa nie sprawiła, że zostali oni wymazani z polskiej historii. Mają się dobrze i ludzie (ci którzy co nieco interesują się rzeczami dawno minionymi) kojarzą ich i są w stanie coś o nich powiedzieć. Usunięcie ze spisu np. Dąbrowszczaków nie wyrugowało z pamięci, że istnieli

również polscy żołnierze w Falandze.

Usuwanie nazw ulic, podobnie jak pomników, nie usunie na trwałe danych informacji z pamięci mieszkańców, o ile dany fakt polskiej historii był naprawdę istotny.

ARGUMENT ZE ZBĘDNOŚCI TEGO TYPU DZIAŁAŃ

Inne pojawiające się głosy odwołują się do zgoła przeciwnej perspektywy: przecież i tak nikt nie wie, niech więc zostanie. W przypadku niektórych nazw ulic (np. 17 stycznia) przyznano klasyfikację „może”. W innych chodzi o nazwiska osób związanych lub będących członkami Komunistycznej Partii Polski – organizacji mającej na celu likwidację niepodległej Polski, czyli osób, które nie powinny być przez tę Polskę uhonorowane. Piszę o Warszawie, gdzie w zasadzie nie brano pod uwagę innego kryterium. Jak jest gdzie indziej to już inna sprawa – czasami rykoszetem dostają działacze lewicowi.

Co jak co, ale nie wydaje mi się, aby Teodor Duracz, agent wywiadu ZSRR, państwa dążącego do zniszczenia Polski, był najszcześniejszym patronem ulicy. Jeżeli poważnie traktujemy to zagadnienie i nie chcemy, aby istniało skrzyżowanie Bolesława Piaseckiego z aleją ONR, to powinniśmy wszystkich ekstremów się wystrzegać.

Argument z nacjonalistycznej wersji historii

„No tak, likwidują jednych i dadzą swoich, najpewniej nacjonalistów i narodowców”, grzmią niektórzy krytycy dekomunizacji. Jeden rzut oka na proponowane nowe nazwy wystarczy, by zauważyć, że znalazło się nawet miejsce dla Wandy Wiłkomirskiej, skrzypaczki i prywatnie żony Mieczysława F. Rakowskiego, czy dla Marii Kuncewiczowej. W długiej liście propozycji nie ma ani „Łupaszki” ani Żołnierzy Wyklętych czy ludzi Obozu Narodowo Radykalnego. Są odkrywcy, pisarze i naukowcy, a nawet niejeden socjalista, między innymi Jędrzej Moraczewski. Również i ten argument jest nie do utrzymania – przynajmniej w Warszawie.

ARGUMENT Z NOWOŚCI POMYSŁU

Obecna władza o dekomunizacji ulic mówiła od dawna i gdyby mogła, zrobiłaby to w 2005 roku. Rok 2016 jest kolejną falą problemu – pierwsza miała miejsce tuż po 1989 roku, kiedy swój plac stracił Feliks Dzierżyński, potem skokowo w latach 1991, 1993, 1998, a w niektórych wypadkach i 2001, 2006 czy nawet 2014, kiedy to, już za czasów Platformy Obywatelskiej, działacz KPP Jan Paszyna został pozbawiony swojego miejsca na mapie Warszawy. Aktualny stan rzeczy jest tylko dokończeniem procesu.

Argument z wygody

No i na koniec jedyny argument, który nie jest tak łatwy do odparcia. Faktycznie zmiana nazw ulic wiąże się z masą papierkowej roboty, przez którą i ja osobiście będę musiał przejść. Rozumiem problem, szczególnie ludzi starszych, którzy będą po urzędach wymieniali dowody i paszporty. Niezaprzeczalnie jest to wyjątkowo uciążliwe, ale...

Państwo jest blisko obywateli, ale nie może nie robić czegoś tylko ze względu na ich wygodę. Bywają sprawy wyższej konieczności. Usunięcie symboli poprzedniego systemu, tabliczek chwalcących antybohaterów (bo jednak KPP dla 99% Polaków nie jest bohaterami) jest dbaniem o spójność polityki historycznej, czyli coś naturalnego na przykład w Niemczech. Czy uświadczymy tam ulicę „Hitlerjugend”? Nie, bo Niemcy nie chcą być z tego dumni.

Ze zmianą nazwy ulicy jest trochę jak z budową autostrady. Aby modernizować trzeba liczyć się z pewnymi ofiarami. Fakt, że nie słyhać o projekcie pomocy ze zmianą dokumentów, jest tematem zupełnie odrębnym, któremu warto poświęcić osobne rozważania. Brak takiej pomocy jest przejawem antyobywatelskiego stosunku władzy do mieszkańców, ale nie podważa słuszności samej idei zmiany ulic. Należy te dwie kwestie rozdzielić.

Autorstwo: Paweł Rzewuski

Źródło: Histmag.org

Licencja: [CC BY-SA 3.0](https://creativecommons.org/licenses/by-sa/3.0/)